

# MOS WOLA Warszawa

<http://moswola.pl/mos/aktualnosci/1859,Wspomnien-czar-ponawiamy-apel-do-ludzi-MOS-u-Wola.html>  
20.04.2024, 08:59

Strona znajduje się w archiwum.

## Wspomnień czar... - ponawiamy apel do ludzi MOS-u Wola.

Ponownie apelujemy do ludzi MOS-u Wola , absolwentów, trenerów, działaczy o pisanie wspomnień, które chcemy zawrzeć w powstającej monografii MOS Wola. Dzisiaj prezentujemy fragmenty wspomnień Michała Peciakowskiego i .. czekamy na następne wspomnienia.

Ponownie apelujemy do ludzi MOS-u Wola , absolwentów, trenerów, działaczy o pisanie wspomnień, które chcemy zawrzeć w powstającej monografii MOS Wola. Dzisiaj prezentujemy fragmenty wspomnień Michała Peciakowskiego i ... czekamy na następne wspomnienia.



Michał Peciakowski wystawia.

APEL DO ABSOLWENTÓW MOS  
WOLA<?xml:namespace prefix = o ns =  
"urn:schemas-microsoft-com:office:office" />

W roku 2010 będziemy obchodzili dwa jubileusze - 45 lat istnienia Międzyszkolnego Ośrodka Sportowego Dzielnicy Warszawa - Wola (1965-2010) oraz 30 lat istnienia Międzyszkolnego Klubu Sportowego przy MOS WOLA (1980-2010).

Z tej okazji przygotowujemy się do uroczystych obchodów jubileuszowych. Powołaliśmy Komitet Organizacyjny obchodów, zbieramy materiały, chcemy urządzić wystawę pamiątek.

**Przygotowujemy się również do wydania wspólnej monografii Międzyszkolnego Ośrodka Sportowego i Międzyszkolnego Klubu Sportowego przy MOS Wola.**

Pragniemy, aby było to **wydawnictwo książkowe** zawierające wspomnienia jak największej ilości osób związanych, kiedyś i obecnie, z MOS Wola.

Zwracamy się z gorącą prośbą do Absolwentów Międzyszkolnego Ośrodka Sportowego WOLA, o współpracę z nami.

Apelujemy o nadsyłanie do MOS Wola starych fotografii z meczów, z obozów sportowych, wyjazdów na zawody itp.

Prosimy o nasyłanie swoich wspomnień. Mogą to być wspomnienia na temat imprez czy zawodów w MOS Wola, ciekawych wydarzeń z historii MOS-u, oczekujemy na anegdoty i ciekawostki związane z działalnością w MOS Wola lub na temat trenerów czy wychowanków Ośrodka.

Chcemy te materiały, w całości lub we fragmentach, zamieścić w wydawnictwie o naszym MOS-ie. Dlatego prosimy o przesłanie nam swoich wspomnień, najlepiej w formie maszynopisu lub na nośniku elektronicznym, do dyrektora MOS Wola lub do sekretariatu Ośrodka.

Wraz ze wspomnieniem prosimy dostarczyć swoją fotografię (aktualną lub inną, którą uznacie Państwo za odpowiednią) oraz krótką, encyklopedyczną, notkę biograficzną o sobie, ze szczególnym uwzględnieniem działalności w MOS Wola, którą byśmy zamieścili przy zdjęciu i przy zamieszczonych wspomnieniach.

Jednocześnie zwracamy się z prośbą o przekazanie nam (do jednorazowego wykorzystania, zeskanowania itp.) materiałów jak zdjęcia, wycinki prasowe lub inne pamiątki,

które moglibyśmy sfotografować i wykorzystać w wydawnictwie o MOS WOLA.

Wszystkie zapytania i inne uwagi prosimy kierować do MOS Wola , telefonicznie lub pocztą elektroniczną (adres poczty elektronicznej [klub@moswola.pl](mailto:klub@moswola.pl)).

Licząc na wsparcie naszych działań, przesyłamy serdeczne pozdrowienia dla całej naszej Mosowskiej Rodziny.

Dyrektor MOS Wola i  
prezes Klubu

(-) Krzysztof Zimnicki

---

*Poniżej prezentujemy fragmenty wspomnień byłego siatkarza MOS Wola, Michała Peciakowskiego.*

Michał Peciakowski, ur.1981 r. Przez siedem lat trenował i grał w MOS Wola Warszawa. W naszym klubie zdobył trzy medale mistrzostw Polski - dwa tytuły wicemistrza Polski (1998 i 1999) i jeden mistrza Polski juniorów (2000). Grając w MOS Wola był przez 4 lata w reprezentacji Polski kadetów , a potem juniorów. Świetnie potrafił łączyć naukę ze sportem. Jako uczeń Liceum Ogólnokształcącego im. gen Andersa w Warszawie i gracz MOS Wola miał średnią ocen powyżej pięciu i otrzymywał stypendium premiera dla najlepszych uczniów w Polsce.

Po zakończeniu gry w MOS Wola grał w polskiej ekstraklasie w KS Morze Szczecin, w AZS Politechnika Warszawska, a następnie w Bundeslidze niemieckiej. Aktualnie gra w lidze austriackiej.

---

#### **MOJE WSPOMNIENIA O MOS WOLA**

**Michał Peciakowski**

Kiedy dyrektor Krzysztof Zimnicki poprosił nas na zorganizowanym przeze mnie wiosną 2009 roku spotkaniu roczników 80, 81 i 82 o napisanie wspomnień odnośnie czasów spędzonych w MOS Wola pomyślałem, że to bardzo fajny pomysł.

Chodziło o uwiecznienie czegoś, co było i niby ciągle jest, ale w nieco innej postaci. Już przecież sam fakt, że prosi o to DYREKTOR Zimnicki, a nie trener Zimnicki jest dowodem na to, że czas płynie.

Naturalnie moje wspomnienia to tylko część tego, co w rzeczywistości miało miejsce. Nie wszystkie sytuacje zdarzyły się w mojej obecności, nie każda utkwiła mi wystarczająco w pamięci, a na wiele patrzeć być może inaczej niż moi koledzy. Jednak wspomnienia to przekaz bardzo indywidualny, a tym samym odrobinę subiektywny.

Moja przygoda z siatkówką rozpoczęła się jesienią 1993 roku. Mając dwanaście lat byłem dzieckiem nieszczerze uzdolnionym ruchowo. Pływać nie umiałem, bo w okresie nauki na basenie zachorowałem i nigdy nie dogoniłem umiejętnościami kolegów z klasy, w sprincie na 60 metrów przegrywałem ze słabymi dziewczynami, a z uwagi na wzrost w klasowym teamie mianowano mnie na samym początku etatowym bramkarzem, co skutecznie nie pozwoliło mi nauczyć się grać w piłkę nożną. Teksty pisane nie żyją w zgodzie z brzydkimi wyrazami, ale patrząc z perspektywy czasu muszę być szczerzy i oficjalnie nazwać się sportowym pierdołą. Na osłode pozostawały góry i wspinaczka, ale to nie było to, czym można było zdobyć uznanie na płaszczyźnie sportowej.

Tak więc gdy owego roku 1993 moi rodzice znaleźli w gazecie drobne ogłoszenie: "Wysokich chłopców do grania w siatkówkę..." nie mogłem się do tego odnieść inaczej niż sceptycznie. Ja, wśród wysportowanych chłopaków, w dodatku aż dwa razy w tygodniu... Wiedziałem, że to nie dla mnie. Ni stąd ni z owąd zacząłem argumentować, że nie dam rady z nauką itd. Jednak rodzinne tradycje siatkarskie wygrały i zostałem zawodnikiem MOS Wola w grupie rocznika 1980-81, prowadzonej przez trenera Krzysztofa Zimnickiego.

Nie pamiętam pierwszego treningu i pierwszych wrażeń. Prawdopodobnie było ich za dużo. Najstarsze obrazy, jakie mam w pamięci, to choćby 30 brzuszków, które zadał nam trener. Kiedy większość kończyła wykonywanie zadania, ja byłem przy trzecim lub czwartym powtórzeniu i umierałem z bólu. Można śmiało stwierdzić, że to były bardzo ciężkie czasy. Niemal każdy ruch był nowy, każde obciążenie za duże, a grupa była zestawem ostrych chłopaków. Jakie charaktery i charakterki przewinęły się przez ten zespół wie tylko ten, który aktywnie w tym uczestniczył.

Pech chciał, że w tej grupie rocznik 81 był zdecydowanie niedoreprezentowany, więc łatwo nie mieliśmy. Trochę było "młody to, młody tamto", ale trzeba przyznać, że duch się hartował. Rocznik "osiem-jeden" dziękuje "osiem-zero" za szkołę charakteru :)

**Interesujące historie**, to zwykle wydarzenia z odrobiną pieprzu. Każdy, nawet ten, kto utrzymuje, że nigdy nie wzięt do ręki tzw. "kolorowej" gazety, dobrze o tym wie. Pieprzne historie raczej nie zdarzały się w szarym, codziennym życiu treningowym. No, może z wyjątkiem gdy ktoś od czasu do czasu usłyszał groźbę pozbawienia życia ze strony Adama Gniadzika. Jednak do tej sytuacji szybko się przyzwyczailiśmy i nauczyliśmy się żyć w stresie. Jakby się chwilę zastanowić, to z w szaleńczym tempie podwyższanymi karami trenera Zimnickiego też bywało nie łatwo.

Trener Zimnicki: „Zandberg, (wszelkie podobieństwa sytuacji są przypadkowe, ale nazwisk nie), dziesięć przewrotów w przód !”

Rafał Zandberg: Trenerze, ale...

TZ: ...dwadzieścia...

RZ: ...no ale ja...

TZ: ...trzydzieści...

RZ: ...nie no...

TZ: ...czterdzieści...

Kto raz zrobił czterdzieści przewrotów w przód, albo kończył przygodę z siatkówką, albo postanawiał słuchać trenera. To było zawsze bardzo śmieszne, jednak jedynie do momentu, gdy podobna kara spadła na nas.

### **Obozy sportowe.**

Nic tak nie jednoczy grupy jak wspólne wyjazdy. Można codziennie chodzić na piwo (tu o obozach dorosłych ligowych zawodników), do kina, codziennie ze sobą trenować, ale w myśl mojej odwiecznej teorii oraz na bazie niezliczonych doświadczeń, nie ma jak zobaczyć znajomego w piżamie. To jest coś tak zbliżającego do siebie, że naprawdę warto wyjeżdżać na obozy, zielone szkoły itp.

Oczywiście głębsze poznanie kolegów z drużyny przybiera dwie formy: jedni okazują się nadzwyczajnymi ludźmi, a z innych wychodzi diabeł lub przynajmniej przysłowiowe szydło z worka. Poza tym na obozy jeździł zwykle cały MOS, a nie tylko jeden rocznik. "Starym" wolno było więcej. To oni przeprowadzali kultowe chrzty i generalnie tyrali młodszych (widocznie też byli tyrani w swoim czasie).

Do dziś nie zapomnę Marcinowi Drabkowskiemu, jak na początku obozu w Łańcucie "pożyczył" ode mnie radio na baterie oddając je dopiero w ostatni dzień obozu. Pomijam fakt, że musiałem po nie pójść osobiście oraz uprzejmie poprosić o wydanie mi go. Najgorsza w tym wszystkim była urwana rączka. Drabek do dnia dzisiejszego utrzymuje, że żadnego radia nie pożyczał, a w każdym razie na pewno nie popsuł. Kiedy potem graliśmy razem w ekstraklasie, w AZS Politechnice Warszawskiej codziennie wypierał się winy. To świadczy tylko o skali na jaką działali wówczas starzy na obozach :)

Historie były naprawdę różne. Najwięcej wspomnień pochodzi z okresu, kiedy Filip Ryczywolski, Adam Gniadzik, ja i paru innych, czyli przedstawiciele rocznika 1981 dołączyliśmy do grupy trenera Felczaka, która trenowała wówczas w Szkole Podstawowej nr 106 na Chomiczówce. Razem stworzyliśmy nowy, trenujący na Rogalińskiej team, który następnie wyznaczył medalowy kurs innym rocznikom MOS-u. Pojawiły się nowe barwne postacie, a my wreszcie staliśmy się tymi starszymi.

Nie da się zapomnieć, jak Sebastian Zieliński przez pewien czas zbierał od wszystkich puste plastikowe butelki po napojach. Nikt nie wierzył w to, że Seba zapisał się do Zielonych i wiadomo było, że coś knuje. Pewnego dnia zamknął się w pokoju, a zza drzwi przez kilka godzin dochodził odgłos suszarki do włosów. Okazało się, że Sebek kupił sobie chomika, a z

zebranych skrzętnie i pozbawionych szyjki i dna butelek, przy pomocy suszarki zgrzał mu finezyjny tunel. Późniejsze losy chomika pozostają tajemnicą.

Warto wspomnieć o Maćku Kosmolu, którego cechował dziwny, jak na jego wiek spokój. W podziwie dla tego nienaturalnego stanu ducha przerobiliśmy kiedyś z Kubą Korpakiem słowa piosenki "Spokój grabarza" Elektrycznych Gitar:

*Spokój Kosiego,*

*wszystko będzie dobrze.*

*Siódma rano*

*po Przeglądzik Sportowy...*

Jeśli już jesteśmy przy Kubie, moim serdecznym przyjacielu i współlokatorze, to warto przypomnieć jego umiejętności pigponowe. Nie było chyba nikogo, kto wygrałby z Kubą, a trzeba przyznać, że paletka do ping-ponga zajmowała w wyposażeniu obozowej torby jedno z ważniejszych miejsc. Także każdy jako tako w "pingla" grał. Kuba był jednak przede wszystkim czołowym zawodnikiem, jeśli chodzi o siatkówkę. Co prawda jego marzenie o, wzorem z NBA, wiszącej pod kopułą koszulce z numem 8 i nazwiskiem KORPAK nigdy nie spełniło się, ale muszę przyznać, że był jednym z najlepszych zawodników, z jakim grałem. A miałem przyjemność grać w życiu z wieloma.

Jeśli jednak wziąć pod uwagę tylko okres w MOS Wola, nie wolno zapomnieć o **Arku Gołasiu**. Chociaż muszę nieskromnie stwierdzić, że zanim przyjemność znalazła się po mojej stronie, musiało minąć trochę czasu. A wszystko przez to, że kiedy Arek dołączył do naszego zespołu, był, co tu ukrywać, po prostu słaby. Skakał. To fakt. Poza tym nie posiadał szczególnych umiejętności, które jednak ciężką pracą niebawem zdobył.

Arek był jednym z trzech ostrołęckich muszkieterów, którzy dołączając do naszego teamu wnieśli nowe spojrzenie na język polski. Musiało upłynąć sporo czasu zanim ostrołęcki akcent przestał być dla nas słyszalny. Ciężko było zachować powagę na boisku, kiedy zmęczony kolejnymi czterema atakami w jednej wymianie "Maskot" (taką ksywkę przywiózł ze sobą z Ostrołęki „Goły”) padł na ziemię i z ostrołęckim akcentem wykrzyknął: "a ijjele to piiitek doo mnie, aaa!?!?".

Nowatorskim spojrzeniem na polską mowę, był również specyficzny język, którym ostrołęcka trójka porozumiewała się między sobą, gdy nie chcieli być zrozumiani przez resztę zespołu. W miarę osłuchiwania się z tą formą mowy nauczyłem się podstaw tego języka i niczym Enigma potrafiłem deszyfrować zakodowane myśli Ostrołęczaków. Przybliżę pokrótce jego zasady. Prawdopodobnie jest to pierwszy pisemny dowód na jego istnienie.

Tak więc generalnie bazą był zwykły język polski, z tym że po każdej samogłosce należy wymówić dwie dodatkowe sylaby. Po samogłosce "o" wymawiamy, lub raczej wpisujemy w słowo sylaby "kono". Po "e" "kene". Po "u" "kunu", "y" "kyny" oraz po "i" "kiny".

W praktyce na przykład słowo "koń" brzmiało "kokonoń", imię "Arek" "Akanarekenek", a nazwisko "Gołaś" "Gokonolakanaś".

I wyobraźcie sobie, że ktoś mówi: "Siekenemakana, cokono takanam? Akanalekene mikiny siekene niekene chcekene dzikinysiakanaj trekenenokonowakanać, akana wakanam?"... W ten sposób można było przemycić przed niepowołanymi wiele różnych treści.

Szkoda, że Arka nie ma już z nami.

### **Turnieje zagraniczne**

Niewątpliwie jedyne w swoim rodzaju były również zagraniczne turnieje, na które mieliśmy przyjemność jeździć dość często. Wtedy było to dla nas ogromne wyróżnienie znaleźć się w Paryżu, Berlinie, Kopenhadze czy Londynie i na międzynarodowej arenie próbować swoich sił z topowymi juniorskimi zespołami z całego świata. Trudno zapomnieć wyjazd do Anglii. Dzień wcześniej, już spakowany, niecierpliwie czekając na dzień wyjazdu poszedłem sobie na rower, by zabić czas. Czas zabiłem skutecznie, a przy okazji niemal nie zabiłem się sam. Spadł mi łańcuch, noga z rozpędu zsunęła się z pedału i wpadając między szprychy zahamowała rower tak, że zrobiłem fikołka przez kierownicę. Oprócz licznych otarć zwichnąłem rękę w nadgarstku, co dla rozgrywającego jest pewną przeszkodą.

Rano na zbiórce na Dworcu PKS Warszawa Zachodnia pojawiłem się w gipsie. Wiedziałem, że trener Felczak mnie zabije, więc przygotowałem się na najwyższy wymiar kary. Lekarz zalecił mi 10 dni gipsu. Do rozpoczęcia turnieju było wtedy równo tydzień. Pierwsze siedem dni przeznaczaliśmy na zwiedzanie Londynu. Postanowiłem skrócić czas dojścia do zdrowia i przy pomocy złości i siły woli wyleczyłem się szybciej.

Ten wyjazd był dziwny pod każdym względem. Mieszkaliśmy w kościele. Chyba nie używanym już kościele. Spało się w pomieszczeniu naturalnie pasującym na zakrystię na tzw. "amerykankach". Czas wolny spędzaliśmy grając gumową piłką w tenisa w głównej części kościoła (ktoś kopnął piłkę pod sufit trafiając w wiszącą pod sufitem kulę dyskotekową... To był niestety ostatni dzień tej kuli). Kąpaliśmy się w leżącej nieopodal remizie strażackiej, zwiedzaliśmy Londyn odwiedzając między innymi stary stadion Wembley oraz główny kort Wimbledonu, graliśmy w piłkę w parku w centrum miasta, a na koniec ograliśmy pierwszą reprezentację siatkarki Anglii. Siatkówka nie jest domeną Anglików, ale my byliśmy wtedy małymi chłopcami, a oni pierwszą reprezentacją dużego kraju!

Akurat na turnieju w Londynie nie było zespołu SCC Berlin, ale generalnie w mojej pamięci tkwi zawsze taki sam scenariusz każdego turnieju, który rozgrywany był w Europie: eliminacje, półfinał, a w finale my właśnie z SCC Berlin. Potem Berlińczycy wygrywają z nami w godzinę, a na końcu Kuba Korpak dostaje jakąś nagrodę indywidualną.

To było siedem pięknych lat. Lat pełnych ciężkiej pracy, wyrzeczeń, przyjaciół i nauki. W sumie już dłużej nie gram w MOS-ie niż grałem, ale zawsze bardzo ciepło myślę o tym miejscu i o ludziach, którym zawdzięczam ogromną część swojego życia. Koszulka Kuby nigdy nie zawisła pod kopułą MOS Wola, ale myślę, że dzięki tamtym siedmiu latom mamy więcej pod własną "kopułą" niż gdybyśmy w MOSie nigdy nie grali.

---

Zachęcamy wszystkich ludzi MOS-u Wola o pisanie swoich wspomnień i nadsyłanie ich do naszego ośrodka. Najciekawsze wspomnienia opublikujemy w przygotowywanym wydawnictwie o MOS Wola.

[Poprzedni Strona](#)

[Następny Strona](#)